

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Mariusz Sieniewicz
Żydówek nie obsługujemy



. . . a r c h i p e l a g i . . .

Mariusz Sieniewicz

Żydówek nie obsługujemy

Myśl

Żydówką była myśl. Doskonale znana, z pozoru niegroźna, od wieków ta sama. Unosiła się o zmierzchu nad światem i wołała „śmierć! śmierć!”. Ludzie wtedy mówili, że coś wisi w powietrzu. Myśl szukała frajera, który wpuściłby ją do głowy i uznał za swoją. A frajerów, co dziwne – wielu, co normalne – sami mężczyźni. Kobiety były raczej niepodatne. Krążyła więc nad głowami facetów-frajerów, gotowa w nieskończoność słuchać rozwlekłych wynurzeń, zarówno o życiu przegranym, jak i o tym, które dopiero otwierało przed nimi podwoje. Czekwała na puentę. Gdy frajerom wyczerpywały się wszystkie „ja”, „o mnie”, „ze mną” i „mój”, wskakiwała zwinnie, bez przeszkód, by wrzasnąć „śmierć! śmierć!” i zapytać z ciekawością, typową dla hotelowego gościa, który ogląda pokój, „no, no, co my tu mamy?”. Naiwniak należał do niej.

Bezdomna myśl nie pchała się na ślepo, nie dobijała chamsko, była cierpliwa. Zwłaszcza wobec żałosnych frustratów, którzy – kieliszek za kieliszkiem – skarżyli się na zrzędliwą żonę, wciąż pusty portfel i bezsensowne, przegrane życie. Znajomych dawno wywiało, kelner uda-

wał, że musi zamykać, zostawała jedynie ona. Niczym sęp krążyła przed zapijaczonymi oczami i w odpowiednim momencie, wołając „śmierć! śmierć!”, spadała z impetem. Nieszczęśnik biegł gdzieś za miasto, kładł głowę na tory lub zaciskał pętlę na szyi.

Kiedy indziej wysłuchiwała opowieści młodego chłopaka, który właśnie żegnał się z kumplami przy ostatnim w cywilu piwku. Szedł do wojska i pokrzykiwał, że w końcu zostanie prawdziwym facetem. Szła z nim, już siedząc mu na ramieniu. „Śmierć! śmierć!” – słyszał chłopak w koszarach, „śmierć! śmierć!” na poligonie, „śmierć! śmierć!” na swojej pierwszej wojnie. Zabijał więc dzielny chłopak – ziemię, ludzi i ptaki, liczył bitwy, poległych, zużyte naboje i miał wrażenie, że jego ciało jest tylko zrogowaciałym od cyngla palcem. Strzelał do wszystkiego, co żyje, aż sam stał się wszystkim i niczym. W bezchmurne noce, razem z innymi z oddziału, oglądał obumierające na niebie gwiazdy. To niebo było niebem obcych i wrogów – nie tym nad jego domem, dlatego wierzył, że „śmierć! śmierć!” mu nie grozi, że wróci do siebie i szybko zapomni o zgasłych gwiazdach.

Najłatwiejszym łupem bezdomnej myśli byli mężowie-ojcowie w szpitalach – ci po wylewach, zawałach, ci z rakami. Nie cieszył ich oczu widok kochanej żony ani dorosłych dzieci, domowy obiad nie cieszył żołądka. Liczył się tylko obsesyjny rachunek sumienia – ostatni przed pięćdziesiątką, przed sześćdziesiątką. Czas płynął wolno,

niczym płyn z podłączonej kroplówki, a myśl siedziała na białym suficie i przewiercała spojrzeniem rychłe zwłoki. Nie mogąc znieść jej spojrzenia, ten po zawale, ten po wylewie, po sześćdziesiątce, chwycił bez sensu kaczkę spod łóżka i syczał, patrząc w sufit, „śmierć! śmierć!”. Otwierało się ciało, otwierała się przeszłość – myśl w pośpiechu wyjadała resztki pamięci, by jak najszybciej przeskoczyć do sali obok. Pielęgniarka niosła białe prześcieradło.

Przełaziła myśl z mózgu do mózgu pijaków, pacjentów, żołnierzy-twardzieli oraz z pozorów całkiem normalnych panów. Bo mózgi frajerów były niczym dworcowe poczekalnie, które uwielbiała zmieniać w ekspresowe pociągi. Jednak kobiece zwoje omijała z daleka. Cwaniara! Co roku kobiety spotykały się na imieninach to jednej, to drugiej i z roku na rok coraz więcej godzin zajmowały im opowieści o zmarłych mężach, ojcach i synach. W ich słowach nie było politowania, jedynie dziwny rodzaj czułości. Nie musiały nigdzie się spieszyć, nie musiały już być powierniczkami swych dzielnych mężczyzn. Skończyły się role, więc czas nie grał roli.

Co robiły podczas coraz dłuższych świątecznych spotkań? Ano grały likierek, aż miło!... Niekiedy nawet wódeczkę! Jadły przyrządzone sałatki, upieczone ciasta i z lekkim uśmiechem patrzyły na zegar. Czasem jedna czy druga coś tam bąknęła o młodym listonoszu albo o sympatycznym instruktorem nauki jazdy, lecz zaraz, zarumieniona, machała ręką. Bo pierwszy liczył na szybki awans,

drugiemu groziła prostata – „śmierć! śmierć!” już się witała z gąską. Zresztą, po co to wszystko? Likierek pyszny, sernik cudowny – życie przecież spełnia się samo.

Gdzieś tam za oknem bezdomna myśl grasowała w najlepsze – gdzieś tam, w knajpach, w szpitalach, na frontach wojen. Lecz to nie była ich bajka.

Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

No... ależ proszę! Stanowczo proszę nie wyobrażać sobie, nie dopowiadać, Wielce Szanowna Prezydentko. Bandytą ani mordercą nie jestem. Nigdy na nikogo nie podniosłem ręki. Kocham ludzi, zwierzęta i ptaki – najbardziej dzieci i świnki morskie. Ucieczki nikt nie planował – to wyszło jakoś na przekór, to wyszło niechcący i nie powtórzy się więcej.

Proszę przestać, proszę nie krzyczeć, pięścią nie grozić. Spokojnie. Kategorycznie zabraniam! Zbyt byłem uczciwy, zbyt jestem lojalny, by mnie próbować zastraszyć. Świat się nie kończy, broń Panie Boże! Świat biegnie dalej.

Był chyba poniedziałek...

Jak sardynki ściśnięci i na wpół żywi autobusem wracamy z pracy...

No, nie... naprawdę – jak mam się wytłumaczyć, skoro Wielce Szanowna wciąż wrzeszczy. Tylko bez gróźb! Spokojnie... Wiem, wszyscy dali się uwieść

i szukali wspólnej wymówki, bo trudno się przyznać – zwłaszcza samotnie, bez świadków, tłumaczy i adwokatów. Może dlatego tak nas napadło... stadnie...

No więc jeszcze raz, od początku... Mogę?...

Jest wrzesień, jest poniedziałek, piętnasta piętnaście – powrót z pracy nudny i powtarzalny. Gdy jak sardynki ściśnięci jedziemy autobusem przez miasto, raptem do mnie, niczym złoczyńca zza krzaka:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę! – syczy jakiś menel.

Jakiś, bo odwrócony do niego tyłem, w ścisiku pomiędzy szybą a innym kimś, nie mogę dojrzeć nic więcej... Menel zajeżdża śmietniskiem i kocimi sikami. Mój Boże! Mój Boże! – na razie udaję. Na razie nie słyszę, nie zauważam, jakby nie do mnie menel syczał. Nieważne, to przeszłyśnienie, wmawiam sobie obłudnie. Uparcie wierzę, że wracam do domu, w szybę się patrzę – o, tu jakiś plakat, tam stłuczka, policjant, na latarni ptak. Jak inni pasażerowie niby zwyczajnie jadę – zamknięty w wielorybie blaszanym, podgryzany przez skwar. I pogrążony jestem w hymnicznej piętnastej piętnaście. Godzinie końca: pracy, lekcji, interesów. Godzinie początku: rodzinnych obiadów i małych nadziei, że wieczór będzie należał do nas i że będziemy się kochać jak spłoszone

gołębie, albo odwrotnie – w gołębich spłoszonych skrzydłach tulić będziemy nieutuloną samotność. Piętnasta piętnaście to hejnał codzienny, na zwykłe życie nie jest za późno. Przynajmniej tak nam się здаje. Każdy pasażer mnie w dłoniach bilet, patrzy przez szybę, przeczekać chce podróż. Choć ja z tej nadziei już wytrącony.

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę! – syczy mi w ucho menel i następuje na mnie usilnie.

Nikt z pasażerów syku nie słyszy. Wszyscy są pogrążeni w milczącej podróży. Siedzący przysypiają, stojący uciekają od siebie wzrokiem. Zarost menela drapie mnie w kark i wywołuje dreszcze. Zimne zmieszane z ciepłymi. Na dodatek przy biodrze odczuwam – cholera! cholera! – ukłucie. Jego ukłucie, jego narzędzie, no wiesz, Wielce Szanowna, nóż. Mniej w tym jest złości, więcej zgrywy, obliczonej na tani strach. Tak sobie myślę... Brzydkiej zabawy, niebezpiecznej zabawy – zabawy nie fair.

I tak jedziemy. Ja, mimo że przed minutą byłem jeszcze zwyczajny, z pracy na zupę wracałem, teraz, z jego ustami na swoim karku, inny nieodwołalnie będę na zawsze. Przeistoczony, ochrzczony tym krótkim sykiem. Koniec z pracą, obiadem i papuciami. Etaty, sretaty, domowe pielesze szlag trafił! Pasażerowie, jak uwolnione z klatek zwierzęta, wyskakują na każdym przystanku – na węch wracają

do blokowych legowisk. Jest poniedziałek, czy o tym wspomniałem? Tak, tak! Piętnasta piętnaście? Nie, już zapewne piętnasta trzydzieści, a może i później. Czas wpełza do jamy, cytryna światła zmienia się w pomarańczę. Ludzie spieszą do rodzin, telewizorów, a ja nie mogę ani na krok ruszyć się z miejsca. Mijamy kino, suniemy przez wiadukt. Jeden przystanek, drugi i trzeci. W oddali, przez chwilę, widzę swój dom, otwarte okno, koronkę kremowej firanki, i nic – jadę dalej, aresztowany, bo menel sykiem jak kajdankami skuł moje ręce.

Szarpie i rzuca nami autobus, umyka z osiedla, zaraz za miastem nurkuje w las. Przez uchyloną szybkę wpada wilgotna woń mokradła. Robi się luźniej, gdy dojeżdżamy do pętli. Ale menel wciąż nachalnie daje o sobie znać:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

Dyszy nad uchem, nożem kłuje i ślini mi kark. Ja, przewieszony przez poręcz jak prześcieradło na sznurze, próbuję odsunąć się choć o pół kroku, choć o milimetr. Na próżno. Chcę krzyknąć, lecz głos grzęźnie w świergocie lasu, poszumie drzew i głośnym warkocie silnika. Do domu nie dotrę, wiem na sto procent. Świat kłębi się we wstrętnych odbiciach w szybie. W nich moja twarz, pomarszczona i przestraszona, w nich twarz menela – ogorzała, za nią – włosy, głowy i karki innych na tle gałęzi. Jest bez-

nadziejnie. Jest dziwnie słodko. Ciało menela trzyma mnie w miejscu, przy szybie. Sytuacja bez wyjścia. Zatkana blaszana muszla. Ja niczym małż przyklejony do szyby – galaretę ciała dźga nóż!

W końcu jesteśmy sami, nie licząc niewidomego chłopca z wilczurem na tylnym siedzeniu. Chłopiec nie widzi, nie słyszy, jedzie znikąd donikąd, w kółko, jak my. Pies wywalonym językiem smakuje powietrze – może coś zwęszył?... Menel wesoły, ja przerażony. Ostrze noża, schowane zapewne pod kurtką, czuję wyraźnie na swoim biodrze. Między ostrość zarostu a strużkę śliny na moim karku znowu wdziera się głos:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

Ten menel jest moją karmą – nie wyjdę stąd żywy, to pewne.

Autobus dojeżdża do pętli, lecz nie przystaje. Od razu zawraca i jedzie tą samą trasą. Na pętli zdumieni ludzie podnieśli się i opadli na ławki, ktoś uskoczył w bok, w tył, ktoś biegł przez chwilę za autobusem, lecz zaraz przystanął. Emeryt? Rencista? Działkowicz?... Wypchnięty z gąszczu świerków i sosen autobus gna teraz niczym obce ciało przez zapchane jelita ulic. Jedziemy z menelem od nowa. On stoi, ja stygnę, on dyszy, ja kamienieję, nie ruszam się z miejsca. Kolejne przystanki są nieznośnie do siebie podobne. Ludzie wsiadają, kasują bilety i nie zwra-

cają uwagi na nasze ciała ściśnięte jak te sardynki, sklezione jak dwie sezamki, nieodłączne niczym marchewka i groszek. Słońce powoli zachodzi nad miastem – w marchewkowych liściach marchewkowe światło na marchewkowo zabarwia wszystko. Jeszcze trochę, i dzień nie zostawi po sobie śladu.

Bandycki układ krzepnie. Cóż, oswajam się z nożem i naszym ściśnięciem, powoli, ale jednak oswajam – jak zwierzę w za ciasnej klatce. O dziwo! – bać się przestaję.

Przystanek. Kobieta z włosami blond wsiada, kasuje bilet i staje obok. Tyłem, tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, na pchnięcie noża, o źdźbło szeptu ode mnie. Tak blisko! Wielce Szanowna Prezydentko, sam pojąć nie mogę, jak to się dzieje! Jak powiedziałem – nie jestem bandytą ani mordercą, jednak nagle przysuwam się jeszcze bliżej do kobiety i syczę diabelnie, nie wiedząc, czy to mój głos:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

Jestem zdumiony łatwością, z jaką mówię te słowa. Chciałbym je zdusić, przytłumić, lecz nie jestem w stanie, bo menel, autobus, mój kark i nóż! A ta kobieta? Co z nią? Jak sobie radzi z moim syknięciem?... Ach, jak cudownie! – kobieta drętwieje, kurczowo trzyma się plastikowej rączki, aż rzemień trzeszczy. Nachylam się głębiej i głębiej, z coraz większą rozkoszą syczę:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

I tak jedziemy o zmierzchu – marchewka już dawno zgniła – z nożami, które sterczą spod kurtek i płaszczy. Wącham włosy blondynki. Włosy pachnące szamponem kiwi – rankiem umyte i rozczesane sprawnym ruchem grzebienia. Przyciskam nóż do jej pleców i od czasu do czasu kontrolnie, prawie niedbale, szepczę:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

Ma ze czterdzieści lat. Posłuszna kobieta, grzeczna kobieta, teraz – czterdziestoletnia dziewczynka, boi się idealnie, w sam raz. Nie protestuje, nie krzyczy. Taka kobieta rozczuła. Pewnie boi się krwi. Lubię czterdziestoletnie w autobusie wieczornym. Teraz mam nóż i mogę sprawić, że zacznie krwawić, choć przecież... menel też gruszek nie zasypia w popiele. Moje biodro poklute, jego twarz w szybie wesola niezmiennie. Oj, nie znasz takich meneli, Wielce Szanowna! Nie odpuszczają tak łatwo. Mogą latami od śmietnika do śmietnika, od parku do parku łązić, aż w końcu głupi, morderczy kawał rodzi się we łbie. Każdy się przecież może zapomnieć raz w życiu.

Choć ludzi wielu, tak naprawdę jedziemy tylko we trójkę. Teraz i ja jestem przeznaczeniem blondynki. Jej los, jej przyszłość jest w moich rękach.

Autobus dociera do centrum. Wydała z siebie zgniecione, stłamszone ciała i wchłania nowe, nie-naruszone jeszcze. Menel przyciska nóż mocniej

i chucha namiętniej pomiędzy jednym: – Posuń się! a drugim. Po: – Bo cię posunę! – liże mnie w kark.

Jak kot, kotka, zupełnie! Czy ma różowy języczek? Nieważne teraz, czy jest różowy! Wystarczy, że chropowaty – od fajek i dyngsu zapewne. Ja ustami muskam włosy kobiety, ostrze zbliżam do jej biodra, szepczę cichutko:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

I oczywiście również liżę ją w kark, wargami wędruję przez rozkosznie pachnące włosy. Miłośnicie obracam rękojeść noża i przesuwam ostrzem po ciele blondynki. Jej kibić zaczyna drzeć, choć nie jest to tylko strach! Choć nie jest to tylko lęk! To coś więcej, o wiele więcej. Delikatnie odchyłam głowę, tak by menela nie sprowokować, i widzę: kobieta wkłada rękę do kieszeni, niepostrzeżenie porusza ustami – coś mówi, coś szepcze, coś syczy. A jakiś urzędniczyna z teczką zniszczoną, ze świńskiej skóry, ten, co plecami do niej stoi, instynktownie odwraca głowę. Zaraz jednak prostuje się posłusznie jak pies. Już wie, w czym rzecz. Wpadł beznadziejnie jak śliwka w kompot.

Teraz blondynka jest jego karmą – urzędniczyna musi działać czym prędzej. Zaciska na poręcz rękę, drugą otwiera teczkę – wyjmuje nóż i dyskretnie chowa pod płaszczem... On też będzie czyjąś karmą, już szuka oczami ofiary, oblicza w pamięci,

kto bliżej, kto dalej, kto akuratnie na długość noża... Wielce Szanowna Prezydentko, ciebie kompletnie ma za nic.

Tego się nie da zatrzymać. Menel szepty rozsypał, ja wypuściłem z worka, blondynka puściła w obieg. Jak brzydką zabawę, niebezpieczną zabawę, zabawę nie fair – od szeptu do szeptu przez uszy, od śliny do śliny przez karki, od noża do noża przez biodra. Miasto pełga w szybach, drzwi autobusu zamknięte – na zewnątrz wszystko nieważne. W ciszy iskrzącej słychać ponury syk:

– Posuń się, posuń! Bo cię posunę!

Lecz ja... Ech, co ze mną?... Mnie już nie kręci głuchy telefon. Innych też nie, choć jeden pięciolatek ma przednią zabawę. Snickersem terroryzuje zgłupiałą matkę! Mnie tylko ona podnieca – tajemnicza niewiadoma, nieznajoma o zapachu kiwi. Kłuję ją w biodro i snuję domysły, kim była w tamtym świecie? Co zostawiła po sobie? Kto będzie płakać? Reszta podobnie myśli o przeszłym życiu swych ofiar. Karzą są wszyscy dla wszystkich. Ani turyści z nas, ani włóczędzy. Pielgrzymujemy. Zamiast biletów – noże niczym święte różańce, zamiast zwykłego ścisku – ściśnięty, gardłowy syk, układający się we wspólną modlitwę pielgrzymów. Co powiesz, Prezydentko, na takie zbiorowe szaleństwo?